

ZŁOTE POPOŁUDNIE

*All in the golden afternoon
Full leisurely we glide...*

Lewis Carroll

Popołudnie zapowiadało się naprawdę ciekawie, jako jedno z tych wspaniałych popołudni, które istnieją wyłącznie po to, by spędzać je na długotrwałym i słodkim *far niente*, aż do rozkosznego zmęczenia się lenistwem. Rzecz jasna, błogostanu takiego nie osiąga się ot tak sobie, bez przygotowania i bez planu, uwaliwszy się w pozycji horyzontalnej byle gdzie. Nie, moi drodzy. Wymaga to poprzedzającej aktywności, tak intelektualnej jak i fizycznej. Na nieróbstwo, jak mawiają, trzeba sobie zapracować.

Aby tedy nie stracić ani jednej ze ściśle wyliczonych chwil, z których zwykły się składać rozkoszne popołudnia, przystąpiłem do pracy. Udałem się do lasu i wkroczyłem doń, lekceważąc ostrzegawczą tabliczkę BEWARE THE JABBERWOCK, ustawioną na skraju. Bez zgubnego w takich razach pośpiechu odszukałem odpowiadające kanonom sztuki drzewo i wlałem na nie. Następnie dokonałem wyboru właściwego konara, kierując się w wyborze teorią o *revolutionibus orbium coelestium*. Za mądrze? Powiem więc prościej: wybrałem konar, na którym przez całe popołudnie słońce będzie wygrzewać mi futro.

Słoneczko przygrzewało, kora pachniała, ptaszęta i owady śpiewały na różne głosy swą odwieczną pieśń. Położyłem się na konarze, zwiesiłem malowniczo ogon, oparłem podbródek na łapach. Już miałem zamiar zapaść w błogi letarg, już gotów byłem zademonstrować całemu światu bezbrzeżne lekceważenie, gdy nagle dostrzegłem ciemny punkt na dalekim horyzoncie.

Punkt zbliżał się szybko. Uniosłem głowę. W normalnych warunkach może nie zniżyłbym się do skupiania uwagi na zbliżających się ciemnych punktach, albowiem w normalnych warunkach takie punkty w większości wypadków okazują się ptakami. Ale w Krainie, w której chwilowo zamieszkiwałem, nie panowały normalne warunki. Lecący po niebie ciemny punkt mógł przy bliższym poznaniu okazać się fortepianem.

* * *

Statystyka po raz nie wiadomo który okazała się jednakowoż być królową nauk. Zbliżający się punkt nie był, co prawda, ptakiem w klasycznym znaczeniu tego słowa, ale też i daleko było mu do fortepianu. Westchnąłem, albowiem wolałbym fortepian. Fortepian, o ile nie leci po niebie razem ze stołkiem i siedzącym na stołku Mozartem, jest zjawiskiem przemijającym i nie drażniącym uszu. Radetzky natomiast — albowiem to właśnie Radetzky nadlatywał — potrafił być zjawiskiem hałaśliwym, upierdliwym i męczącym. Powiem nie bez złośliwości: to było w zasadzie wszystko, co Radetzky potrafił.

— Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? — zaskrzeczał, zataczając koła nad moją głową i moim konarem. — Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty?

— Spierdalaj, Radetzky.

— Aleś ty wulgarny, Chester. Haaa—haaa! *Do cats eat bats?* Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? A czy nie miewają czasami na koty nietoperze ochoty?

— Najwyraźniej przagniesz mi o czymś powiedzieć. Zrób to i oddal się.

Jak słusznie się domyślacie, nie była to konwersacja. To było pierwsze zdanie z jej podręcznika francuskiego. Tym niemniej, reakcja była ciekawa.

Poprawiłem mą pozycję na konarze. Powoli, by nie płoszyć idiotki. Jak wspomniałem, nie byłem jeszcze zdecydowany. Nie bałem się zdrzeć z Les Coeurs, którzy uzurpowali sobie wyłączne prawo do unicestwiania gości i stawiali się ostro, gdy ktoś ośmielił się ich w tym wyreczyć. Ja, będąc kotem, naturalnie olewałem ich wyłączne prawa. Olewałem, nawiasem mówiąc, wszelkie prawa. Dlatego zdarzały mi się już drobne konflikty z Les Coeurs i z ich królową rudowłosą Mab. Nie bałem się takich konfliktów. Wręcz prowokowałem je, gdy tylko miałem chęć. Teraz jednak jakoś nie czułem specjalnej chęci. Ale pozycję na konarze poprawiłem. W razie czego wołałem załatwić sprawę jednym skokiem, bo na uganie się za idiotką po lesie nie miałem ochoty za grosz.

— Nigdy w życiu — powiedziała dziewczynka lekko drżącym głosem — nie widziałam kota, który się uśmiecha. W taki sposób.

Poruszyłem uchem na znak, że nic to dla mnie nowego.

— Ja mam kotkę — oznajmiła. — Moja kotka nazywa się Dina. A ty jak się nazywasz?

— Ty tu jesteś gościem, drogie dziewczę. To ty powinnaś przedstawić się pierwsza.

— Przepraszam — dygnęła, spuszczać wzrok. Szkoda, albowiem oczy miała ciemne i jak na człowieka bardzo ładne. — Rzeczywiście, to nie było grzeczne, powinnam wpierw się przedstawić. Nazywam się Alicja. Alicja Liddell. Jestem tu, bo weszłam do króliczej nory. Za białym królikiem o różowych oczach, który miał na sobie kamizelkę. A w kieszonce kamizelki zegarek.

Inka, pomyślałem. Mówi zrozumiale, nie pluje, nie ma obsydianowego noża. Ale i tak Inka.

— Paliliśmy trawkę, panienko? — zagadnąłem grzecznie. — Łykaliśmy barbituraniki? Czy może naćpaliśmy się amfetaminki? *Ma foi*, wcześniej teraz dzieci zaczynają.

— Nie rozumiem ani słowa — pokręciła głową. — Nie pojęłam ani słowa z tego co mówisz, kocie. Ani słóweczka. Ani słówenienieczka.

Mówiła dziwnie, a ubrana była jeszcze dziwniej, teraz dopiero zwróciłem na to uwagę. Rozkloszowana sukienka, fartuszek, kołnierzyk z zaokrąglonymi rogami, krótkie bufiaste rękawki, pończoszki... Tak, cholera jasna, pończoszki. I trzewiczki na rzemyczki. *Fin de siècle*, żebym tak zdrów był. Narkotyki i alkohol należało zatem raczej wykluczyć. O ile, rzecz jasna, jej ubiór nie był kostiumem.

Mogła trafić do Krainy wprost z przedstawienia w szkolnym teatrze, gdzie grała Małą Miss Muffet siedzącą na piasku obok pająka. Albo wprost z imprezy, na której młodociana trupa świętowała sukces spektaklu garściami prochów. I to właśnie, uznałem po namyśle, było najbardziej prawdopodobne.

— Cóż tedy zażywaliśmy? — spytałem. — Jakaż to substancja pozwoliła nam osiągnąć odmienny stan świadomości? Jakież to preparat przeniósł nas do krainy marzeń? A może po prostu piliśmy bez umiaru ciepłą gin and tonic?

— Ja? — zarumieniła się. — Ja niczego nie piłam... To znaczy, tylko jeden, jeden maciupęłki lyczek... No, może dwa... Lub trzy... Ale na buteleczce była przecież karteczka z napisem „Wypij mnie”. To w żaden sposób nie mogło mi zaszkodzić.

— Zupełnie, jakbym słyszał Janis Joplin.

— Słucham?

— Nieważne.

— Miałeś mi powiedzieć, jak masz na imię.

— Chester. Do usług.

— Chester leży w hrabstwie Cheshire — oznajmiła dumnie. — Uczyłam się o tym niedawno w szkole. Jesteś więc Kocem z Cheshire! A jak mi usłuszysz? Zrobisz mi coś przyjemnego?

— Nie zrobię ci niczego nieprzyjemnego — uśmiechnąłem się, szczerząc zęby i ostatecznie decydując, że jednak zostawię ją do dyspozycji Mab i Les Coeurs. — Potraktuj to jako usługę. I nie licz na więcej. Do widzenia.

— Hmm... — zawahała się. — Dobrze, zaraz sobie pójde... Ale wpierw... Powiedz mi, co robisz na drzewie?

— Leżę w hrabstwie Cheshire. Do widzenia.

— Ale ja... Ja nie wiem, jak stąd wyjść.

— Chodziło mi wyłącznie o to, byś się oddaliła — wyjaśniłem. — Bo jeżeli chodzi o wychodzenie, to daremny trud, Alicjo Liddell. Stąd nie da się wyjść.

— Słucham?

— Stąd nie da się wyjść, głupiutka. Należało spojrzeć na rewers karteczki na buteleczce.

— Nieprawda.

Machnąłem zwisającym z konara ogonem, co u nas, kotów, odpowiada wzruszeniu ramionami.

— Nieprawda — powtórzyła zadziornie. — Pospaceruję tu, a potem wrócę do domu. Muszę. Chodzę do szkoły, nie mogę opuszczać lekcji. Poza tym, mama tęskniłaby za mną. I Dina. Dina to moja kotka. Mówiłam ci o tym? Do widzenia, Kocie z Cheshire. Czy byłbyś jeszcze łaskaw powiedzieć mi, dokąd prowadzi ta dróżka? Dokąd trafię, gdy nią pójde? Czy ktoś tam mieszka?

— Tam — wskazałem nieznacznym ruchem głowy — mieszka Archibald Haigha, dla przyjaciół Archie. Jest bardziej szalony niż marcowy zajac. Dlatego mówimy na niego: Marcowy Zajac. Tam zaś mieszka Bertrand Russell Hatta, który jest szalony jak kapelusznik. Dlatego też mówimy na niego: Kapelusznik. Obaj, jak się już zapewne domyśliłaś, są obłąkani.

— Ale ja nie mam ochoty spotykać obłąkanych ani furiatów.

— Wszyscy tu jesteśmy obłąkani. Ja jestem obłąkany. Ty jesteś obłąkana.

— Ja? Nieprawda! Dlaczego tak mówisz?

— Gdybyś nie była obłąkana — wyjaśniłem, trochę już znudzony — nie znalazłabyś się tutaj.

— Mówisz samymi zagadkami... — zaczęła, a oczy rozszerzyły się jej nagle. — Ejże... Co się z tobą dzieje? Kocie z Cheshire! Nie znikaj! Nie znikaj, proszę!

— Drogie dziecko — powiedziałem łagodnie. — To nie ja znikam, to twój mózg przestaje funkcjonować, przestaje być zdolny nawet do delirycznego majaczenia. Ustają czynności. Innymi słowy...

Nie dokończyłem. Nie mogłem jakoś zdobyć się na to, by dokończyć. By uświadomić jej, że umiera.

— Widzę cię znowu! — zawołała triumfalnie. — Znowu jesteś. Nie rób tego więcej. Nie znikaj tak nagle. To okropne. W głowie się od tego kręci.

— Wiem.

— Muszę już iść. Do widzenia, Kocie z Cheshire.

— Żegnaj, Alicjo Liddell.

* * *

Uprzedzę fakty. Nie poleniuchowałem już sobie tego dnia. Wycmucony ze snu i wyrwany z błogiego letargu nie byłem już w stanie odbudować w sobie poprzedniego nastroju. Cóż, na psy schodzi ten świat. Żadnych względów i żadnego szacunku nie okazuje się już śpiącym lub odpoczywającym kotom. Gdzie te czasy, gdy prorok Mahomet, chcąc wstać i iść do meczetu, a

nie chcąc budzić kotki, uśpionej w rękawie jego szaty, uciął rękaw nożem. Nikt z was, załóżę się o każde pieniądze, nie zdobyłby się na równie szlachetny czyn. Dlatego też nie przypuszczam, by komukolwiek z was udało się zostać prorokiem, choćby jak rok długi biegał z Mekki do Medyny i z powrotem.

Cóż, jak Mahomet kotu, tak kot Mahometowi.

Nie zastanawiałem się dłużej niż godzinę. Potem — sam się sobie dziwiąc — zląłem z drzewa i nie spiesząc się nadmiernie podażyłem wąską leśną ścieżką w stronę domostwa Archibalda Haighy, zwanego Marcowym Zającem. Mogłem oczywiście, gdybym chciał, znaleźć się u Zająca w ciągu kilku sekund, ale uznałem to za zbytek łaski, mogący sugerować, że na czymkolwiek mi zależy. Może i zależało mi trochę, ale nie miałem zamiaru tego okazywać.

Czerwone dachówki domku Zająca rychło wkomponowały się w ochrę i żółć jesiennych liści okolicznych drzew. A do moich uszu dobiegła nastrojowa muzyka. Ktoś — lub coś — cichutko grało i śpiewało „Greensleeves”. Melodię znakomicie dopasowaną do czasu i miejsca.

*Alas, my love, you do me wrong
To cast me out discourteously
And I have loved you so long
Delighting in your company...*

* * *

Na podwórko przed domkiem wystawiono nakryty czystym obrusem stół. Na stole ustawiono talerzyki, filiżanki, imbryk do herbaty i flaszkę whisky Chivas Regal. Za stołem siedział gospodarz, Marcowy Zając, i jego goście: Kapelusznik, bywający tu niemal stale i Pierre Dormousse, bywający tu — i gdziekolwiek — niezmiernie rzadko. W szczytcie stołu siedziała natomiast ciemnooka Alicja Liddell, z dziecięcą beczelnością rozparta w wiklinowym fotelu i trzymająca oburącz filiżankę. Wyglądała na zupełnie nie przejętą faktem, że przy five o'clock whisky and tea towarzyszą jej zając o nieporządnych wąsach, karzełek w kretyńskim cylindrze, sztywnym kołnierzyku i muszce w grochy oraz grubiotki suseł, drzemiący z głową na stole.

Archie, Marcowy Zając, dostrzegł mnie pierwszy.

— Popatrzcie, któż to nadchodzi — zawołał, a tembr jego głosu wskazywał niedwuznacznie, że herbatę w tym towarzystwie pila tylko Alicja. — Któż to zbliża się? Czy mnie wzrok nie myli? Byłobyż to, że zacytuję proroka Jeremiasza, najszlachetniejsze ze zwierząt, mające chód wspaniały a krok wyniosły?

— Musiano gdzieś potajemnie otworzyć siódmą pieczęć — zawtórował Kapelusznik, łyknąwszy z porcelanowej filiżanki czegoś, co ewidentnie nie było herbatą. — Spójrzcie bowiem, oto kot błądny, a piekło postępuje za nim.

— Zaprawdę powiadam wam — oznajmiłem bez emfazy, podchodząc bliżej — jesteście jako cymbały brzmiały.

— Siadaj, Chester — powiedział Marcowy Zając. — I nalej sobie. Jak widzisz, mamy gościa. Gość zabawia nas właśnie opowiadaniem o przygodach, jakich zaznał od momentu przybycia do naszej Krainy. Załóżę się, że też chętnie posłuchasz. Pozwól, że przedstawię ci...

— My się już znamy.

— No pewnie — powiedziała Alicja, uśmiechając się uroczo. — Znamy się. To właśnie on wskazał mi drogę do waszego ślicznego domku. To jest Kot z Cheshire.

— Czegoś to napłótl dzieciakowi, Chester? — poruszył wąsami Archie. — Znowu popisywałeś się elokwencją, mającą dowieść twej wyższości nad innymi istotami? Co? Kocie?

Kiedy wreszcie zrozumiesz, że choćbyś nie wiem jak się wymądrzał, nikt, z tu obecnych nie obdarzy cię boską czcią? Nie jesteśmy w Bubastis, ale w Krainie...

— Krainie Czarów? — wtrąciła Alicja, wodząc po nas spojrzeniem.

— Dziwów — poprawił Kapelusznik. — Kraina Czarów to Faërie. To jest Wonderland. Kraina Dziwów.

— Semantyka — burknął znad obrusa Dormousse. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

— Kontynuuj, Alicjo — ponaglił Kapelusznik. — Co było dalej, po tych ciasteczkach?

— Ja — oświadczyła dziewczynka, bawiąc się uszkiem filiżanki — bardzo chciałam odszukać tego białego królika w kamizelce, tego, który nosił rękawiczki i zegarek z dewizką. Tak sobie myślałam, że jeśli go odszukam, to może trafię też do tej nory, w którą wpadłam... I będę mogła tą norą wrócić. Do domu.

Milczeliśmy wszyscy. Ten fragment wyjaśnień nie wymagał. Nie było wśród nas takiego, który nie wiedziałby, czym jest i co symbolizuje czarna nora, upadek, długie, niekończące się spadanie. Nie było wśród nas takiego, który nie wiedziałby że w całej Krainie nie ma nikogo, kto choćby z oddali mógł przypominać białego królika, noszącego kamizelkę, rękawiczki i zegarek.

— Szłam — podjęła cicho Alicja Liddell — przez ukwieconą łąkę, i nagle pośliznęłam się, bo cała łąka była mokra od rosy i bardzo śliska. Upadłam. Sama nie wiem jak, ale nagle chlupnęłam do morza. Tak myślałam, bo woda była słona. Ale to nie było wcale morze, wiecie? To była wielka kałuża łez. Bo ja płakałam wcześniej, bardzo płakałam... Bo bałam się i myślałam, że już nigdy nie odnajdę tego królika i tej nory. Wszystko to wyjaśniła mi jedna mysz, która pływała w tej kałuży, bo też tam przypadkiem wpadła, tak samo jak ja. Wyciągnęłyśmy się z tej kałuży nawzajem, to znaczy trochę mysz wyciągnęła mnie, a trochę ja wyciągnęłam mysz. Cała była mokra, biedaczka, i miała długi ogonek...

Zamilkła, a Archie popatrzył na mnie z wyższością.

— Niezależnie od tego, co myślą o tym różne koty — oświadczył, wystawiając na widok publiczny swe dwa żółte zęby — ogonek myszy to symbol falliczny. Tym tłumaczy się, nawiasem mówiąc, paniczny lęk, który na widok myszy ogarnia niektóre kobiety.

— Jesteście obłąkani — powiedziała z przekonaniem Alicja. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

— A słone morze — zadrwiłem — powstałe z dziewczęcych łez, to oczywiście doprowadzająca do płaczu zazdrość o penisa? Co, Archie?

— Tak jest! Piszą o tym Freud i Bettelheim. Zwłaszcza Bettelheima godzi się tu przywołać, albowiem zajmuje się on psychiką dziecka.

— Nie będziemy — skrzywił się Kapelusznik, nalewając whisky do filiżanek — przywoływać tu Bettelheima. Freud też niech sobie *requiescat in pace*. Ta flaszką to w sam raz na nas czterech, *comme il faut*, nikogo więcej nam tu nie potrzeba. Opowiadaj, Alicjo.

— Później... — zastanowiła się Alicja Liddell. — Później przypadkowo napotkałam lokaja. Ale gdy się lepiej przyjrzałam, okazało się, że to nie lokaj, ale wielka żaba, ubrana w lokajską liberię.

— Aha! — ucieszył się Marcowy Zajac. — Jest i żaba! Płaz wilgotny i oślizgły, który pobudzony nadyma się, rośnie, zwiększa swe rozmiary! Czego to symbol, jak wam się zdaje? Penisa przecież!

— No pewnie — kiwnąłem głową. — Czegóżby innego. Tobie wszystko kojarzy się z penisem i z dupą, Archie.

— Jesteście obłąkani — powiedziała Alicja. — I wulgarni.

— No pewnie — przytaknął Dormousse, unosząc głowę i patrząc na nią sennie. — Każdy to wie. Och, ona tu jeszcze jest? Jeszcze po nią nie przyszli?

Kapelusznik, wyraźnie zaniepokojony, obejrzał się na las, z głębi którego dobiegały jakieś trzaski i chrupotanie. Ja, będąc kotem, słyszałem te odgłosy już od dawna, zanim jeszcze się przybliżyły. To nie byli Les Coeurs, to była wataha zbłąkiń, szukających wśród ściółki czegoś do żarcia.

— Tak, tak, Archie — nie zamierzałem uspokajać Zająca, który również słyszał chrupotanie i płochliwie postawił uszy. — Powinieneś pospieszyć się z psychoanalizą, w przeciwnym razie Mab dokończy jej za ciebie.

— Może więc ty dokończysz? — Marcowy Zając poruszył wąsami. — Ty, jako istota wyższa, znasz wszakże na wylot mechanizmy zachodzących w psychice procesów. Niewątpliwie wiesz, jak to się stało, że umierająca córka dziekana Christ Church, miast odejść w pokoju, nie budząc się z letargu, błąka się po Krainie?

— Christ Church — pohamowałem zdziwienie. — Oksford. Który rok?

— Tysiąc osiemset sześćdziesiąt dwa — burknął Archie. — Noc z siódmego na ósmy lipca. Czy to ważne?

— Nieważne. Uczyń podsumowanie twego wyводу. Bo przecież masz już gotowe podsumowanie?

— Jasne, że mam.

— Płonę z ciekawości.

Kapelusznik nalał. Archie łyknął, jeszcze raz popatrzył na mnie wyniośle, odchrząknął, zatarł łapy.

— Mamy tu — zaczął uroczyście i podniośle — do czynienia z typowym przypadkiem konfliktu id, ego i superego. Jak szanownym kolegom wiadomo, w psychice ludzkiej id jest tym, co niebezpieczne, co popędowe, co groźne i niezrozumiałe, tym, co wiąże się z niemożliwą do pohamowania tendencją do bezmyślnego zaspakajania przyjemności. Owo bezmyślne uleganie popędom usiłuje dana osoba — jak to przed chwilą obserwowaliśmy — niezdarnie usprawiedliwiać imaginowanymi instrukcjami typu „wypij mnie” czy „zjedz mnie”, co — oczywiście fałszywie — pozorować ma poddanie id kontroli racjonalnego ego. Ego danej osoby to bowiem wpojona jej wiktoriańska zasada rzeczywistości, realności, konieczności poddania się nakazom i zakazom. Realność to surowe wychowanie domowe, surowa, choć pozornie barwna realność „Young Misses Magazine”, jedynej lektury tego dziecka...

— Nieprawda! — wrzasnęła Alicja Liddell. — Czytałam jeszcze „Robinsona Crusoe”! I Sir Waltera Scotta!

— Nad tym wszystkim — Zając nie przejął się wrzaskiem — próbuje bez rezultatu zapanować nierozbudowane superego rzeczowej i — *sit licentia verbo* — przytomnej tu osoby. A superego, nawet szczątkowe, przesądza między innymi o zdolności do fantazjowania. Dlatego też próbuje przekładać zachodzące procesy na wizje i obrazy. *Vivere cesse, imaginare necesse est*, jeśli pozwolą szanowni koledzy na parafrazę...

— Szanowni koledzy — powiedziałem — pozwolą sobie raczej na uwagę, że wywód, choć w zasadzie teoretycznie prawidłowy, niczego nie tłumaczy, stanowi więc klasyczny przypadek akademickiej gadaniny.

— Nie obrażaj się, Archie — niespodziewanie poparł mnie Kapelusznik. — Ale Chester ma rację. Nadal nie wiemy, jakim sposobem Alicja się tu znalazła.

— Toście tępaki są! — zamachał łapami Zając. — Przecież mówię! Wniosła ją tu jej przepelniona erotyzmem fantazja! Jej lęki! Pobudzone jakimś narkotykiem utajone marzenia...

Urwał, wpatrzony w coś za moimi plecami. Teraz i ja słyszałem szum piór. Usłyszałby wcześniej, gdyby nie jego gadanina.

Na stole, dokładnie pomiędzy butelką a imbrykiem, wylądował Edgar. Edgar jest krukiem. Edgar dużo lata a mało gada. Dlatego w Krainie służy wszystkim głównie jako posłaniec. Tym razem również tak było, bo Edgar trzymał w dziobie sporą kopertę, ozdobioną rozdzielonymi koroną inicjałami MR.

— Cholerna banda — szepnął Kapelusznik. — Cholerna efekciarska banda.

— To do mnie? — zdziwiła się Alicja. Egdar kiwnął głową, dziobem i listem.

Wzięła kopertę, ale Archie bezceremonialnie wyrwał ją jej, złamał pieczęć.

— Jej Królewska Wysokość Mab etc. etc. — odczytał — zaprasza do wzięcia udziału w partii krokieta, która odbędzie się...

Popatrzył na nas.

— Dziś — poruszył wąsami. — A więc dowiedzieli się. Pieprzony nietoperz rozgadał i dowiedzieli się.

— Cudownie! — Alicja Liddell klasnęła w dłonie. — Partia krokieta! Z królową! Czy już mogę iść? Byłoby niegrzecznie się spóźnić.

Kapelusznik chrząknął głośno. Archie obrócił list w dłoni. Dormousse zachrapał. Edgar milczał, strosząc czarne pióra.

— Zatrzymajcie ją tu, jak długo się da — zdecydowałem się nagle i wstałem. — Zaraz wracam.

— Nie wyglupiaj się, Chester — mruknął Archie. — Nic nie zdziałasz, choćbyś i dotarł na miejsce, w co wątpię. Już za późno. Mab o niej wie, nie pozwoli jej odejść. Nie uratujesz jej. Nie ma sposobu.

— Może się założymy?

* * *

Wiatr czasu i przestrzeni wciąż jeszcze szumił mi w uszach i jeżył sierść, a ziemia, na której stałem, za nic w świecie nie chciała przestać się trząść. Równowaga i twarda realność szybko i konsekwentnie wypierały jednak *horror vacui*, który towarzyszył mi przez kilka ostatnich chwil. Mdłości, jakkolwiek niechętnie, ustępowały, oczy zwolna przyzwyczajały się do euklidesowej geometrii.

Rozejrzałem się.

Ogród, w którym wylądowałem, był prawdziwie angielski, to znaczy zarośnięty i zakrzaczony jak cholera. Gdzieś z lewej zalatywało bagienkiem i dał się co i raz słyszeć krótki kwak, wywnioskowałem więc, że nie brakuje tu i stawu. W głębi płonęła światłami pokryta bluszczem fasada niedużego piętrowego domu.

W zasadzie pewien byłem swego, to znaczy tego, że trafiłem we właściwe miejsce i właściwy czas. Ale wolałem się upewnić.

— Czy jest tu ktoś, u diabła? — zapytałem zniecierpliwiony.

Nie czekałem długo. Z mroku wyłonił się rudy i pręgowaty jegomość. Nie wyglądał na właściciela ogrodu, choć usilnie starał się wyglądać. Głupkiem nie był, najwyraźniej wpojono mu też w wieku kocięcym nieco manier i *savoir vivre*'u, bo gdy mnie zobaczył, pozdrowił grzecznie, siadając i owijając łapy ogonem. Ha, chciałbym zobaczyć któregoś z was, ludzi, reagujących w sposób równie spokojny na pojawienie się którejś z istot z waszej mitologii. I demonologii.

— Z kim mam przyjemność? — zapytałem krótko i obcesowo.

— Russet Fitz-Rourke Trzeci, Your Grace.

— To — ruchem ucha pokazałem, co mam na myśli — oczywiście Anglia?

— Oczywiście.

— I to także wyjąłeś mi z ust.

Czekaliśmy. Wreszcie Venera Whiteblack przestała mrużyć, położyła się na boku, ziewnęła i kilkakrotnie przecesała futro różowym jęczorkiem.

— Chyba już — oznajmiła niepewnie. — Wyciągnęłam wszystko. Truciznę, chorobę i gorączkę. Miała jeszcze coś w szpiku kostnym, nie wiem, co to było. Ale dla pewności wyciągnęłam również.

— Brawo, My Lady.

— Your Grace?

— Słucham?

— Ja wciąż żyję.

— Chyba nie sądziłaś — uśmiechnąłem się z wyższością — że pozwolę ci umrzeć?

* * *

Kotka zmrużyła oczy w niemym podziękowaniu. Charles Ludwidge Dodgson, od dłuższej chwili śledzący niespokojnym wzrokiem nasze poczynania, chrząknął nagle głośno. Spojrzałem na niego.

— Mów — zezwoliłem wspaniałomyślnie. — Tylko nie jąkaj się, proszę.

— Nie wiem, co za rytuał się tu odprawia — zaczął cicho. — Ale są rzeczy na niebie i ziemi...

— Przejdź do tych rzeczy.

— Alicja wciąż jest nieprzytomna.

Ha. Miał rację. Wyglądało na to, że operacja się udała. Ale wyłącznie lekarzom. *Medice, cura te ipsum*, pomyślałem. Zwlekałem z zabraniem głosu, czując na sobie pytający wzrok kotki i niespokojny wzrok wykładowcy matematyki. Rozwazałem różne możliwości. Jedną z nich było wzruszenie ramionami i pójście sobie precz. Ale za mocno zaangażowałem się już w tę historię, nie mogłem teraz się wycofać. Flaszka, o którą założyłem się z Zającem, to jedno, ale prestiż...

Myślałem intensywnie. Przeszkodzono mi w tym.

Charles Ludwidge podskoczył nagle, a Venera Whiteblack wyprężyła się i gwałtownie uniosła głowę. Na esach-floresach wiktoriańskiej tapety zatańczył szybki, ruchliwy cień.

— Haa-haa! — zapiszczał cień, kołując przy żyrandolu. — Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty?

Venera położyła uszy, zasyczała, wygięła grzbiet, prychnęła wściekle. Radetzky przezornie zawisł na abażurze.

— Chester! — zawołał z wysokości, rozwijając jedno skrzydło. — Archie kazał powtórzyć, byś się pospieszył! Jest źle! Les Coeurs zabrali dziewczynę! Pospiesz się, Chester!

Zakląłem bardzo brzydko, ale po egipsku, więc nikt nie zrozumiał. Rzuciłem okiem na Alicję. Oddychała spokojniej, na jej twarzy dostrzegalem też coś na kształt rumieńca. Ale, cholera jasna, nadal była nieprzytomna.

— Ona wciąż śni — odkrył Amerykę Charles Ludwidge Dodgson. — Co najgorsze, obawiam się, że to nie jest jej sen.

— Ja też się tego obawiam — popatrzyłem mu w oczy. — Ale nie czas na teoretyzowanie. Trzeba wyrwać ją z maligny, zanim nie dojdzie do rzeczy nieodwracalnych. Radetzky? Gdzie jest w tej chwili dziewczyna?

— Na Wonderland Meadows! — zaskrzeczał nietoperz. — Na polu krokietowym! Z Mab i Les Coeurs!

— Lecimy.

— Lećcie — Venera Whiteblack wysunęła pazury. — A ja będę tutaj czuwać.

— Zaraz — Charles Lutwidge potarł czoło. — Nie wszystko rozumiem... Nie wiem, dokąd i po co chcecie lecieć, ale... Chyba nie obejdzie się beze mnie... To ja muszę wymyślić zakończenie tej historii. Żeby to zrobić... By Jove! Muszę pójść z wami.

— Chyba żartujesz — parsknąłem. — Nie wiesz, o czym mówisz.

— Wiem. To moja własna fantazja.

— Już nie.

W drodze powrotnej *horror vacui* był jeszcze gorszy. Bo spieszyłem się. Zdarza się, że w podczas takich podróży pośpiech okazuje się zgubny. Mała pomyłka w obliczeniach i nagle trafia się do Florencji w roku 1348, w czas epidemii Czarnej śmierci. Albo do Paryża, w noc z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty sierpnia 1572.

Ale miałem szczęście. Trafiłem tam, dokąd należało.

* * *

Kapelusznik nie mylił się ani nie przesadzał, zwąc całą tą paskudną bandę efekciarzami. Oni wszystko robili z efektem i dla efektu. Zawsze. Tym razem też tak było.

Usytuowany pomiędzy akacjami trawnik nieudolnie udawał pole do krokietu, dla efektu ustawiono nawet na nim półokrągłe bramki, w krokietowym żargonie zwane arches. Les Coeurs — w liczbie około dziesięciu — trzymali w rękach rekwizyty: młotki, czyli *mallets*, a po murawie wałało się coś, co miało imitować piłki, ale wyglądało zupełnie jak zwinięte w kłębek jeże. Rej zaś wśród szajki wiodła oczywiście płomiennowłosa Mab, ustrojona w karminowe atłasy i krzykliwą biżuterię. Podniesionym głosem i władczymi gestami wskazywała Les Coeurs miejsca, które winni zająć. Jedną rękę trzymała przy tym na ramieniu Alicji Liddell. Dziewczynka przyglądała się królowej i przygotowaniom z żywym zainteresowaniem i płonącymi policzkami. W oczywisty sposób nie pojmowała, że szykuje się nie zabawa, lecz sadystyczna i efekciarska egzekucja.

Moje niespodziewane pojawienie się wywołało — jak zwykle — lekkie poruszenie i szumek wśród Les Coeurs, które Mab szybko jednak opanowała.

— Żałuję, Chester — powiedziała zimno, mnąc falbanki na ramieniu Alicji uzbrojonymi w pierścienie palcami. — Bardzo żałuję, ale mamy już komplet graczy. Między innymi z tego powodu nie wysłano ci zaproszenia.

— Nie szkodzi — ziewnąłem, demonstrując siekacze, kły, łamacze, przedtrzonowce i trzonowce, łącznie całą kupę zębiny i szkliwa. — Nie szkodzi, Wasza Wysokość, i tak zmuszony byłbym odmówić. Nie przepadam za krokietem, wolę inne gry i zabawy. Co zaś tyczy kompletu graczy, to tuszę, że macie i rezerwowych?

— A co ciebie — Mab zmrużyła oczy — może obchodzić, co mamy a czego nie?

— Zmuszony jestem zabrać stąd pannę Liddell. Licząc, że nie zepsuję wam tym zabawy.

— Aha — Mab odwzajemniła mi się demonstracją uźębienia, słabo imitującą uśmiech. — Aha. Rozumiem.

Wytłumacz mi jednak, dlaczego nasze odwieczne spory o hegemonię mają polegać na wzajemnym wyrywaniu sobie zabawek?

Czy musimy zachowywać się jak dzieci? Czy nie możemy, ustalwszy czas i miejsce, załatwić tego, co jest do załatwienia? Czy mógłbyś mi to wyjaśnić, Chester?

— Mab — odrzekłem. — Jeśli chcesz dyskutować, to ustal czas i miejsce. Ze stosownym wyprzedzeniem. Dziś nie jestem w nastroju do dysputy. Poza tym, gracze czekają. Zabieram więc Miss Liddell i znikam, przestając się narzucać.

— Po kiego grzyba — Mab, gdy się denerwowała, zawsze wpadała w jakieś okropne argot — i po kiego wała ci ten dzieciak, cholerny kocie? Dlaczego ci tak na nim zależy? A może to wcale nie chodzi o tego dzieciaka? Co? Odpowiedz mi!

— Powiedziałem, nie mam ochoty na dyskusje. Obejmuje to również odpowiedzi na pytania. Chodź tu, Alicjo.

— Ani mi się waż ruszyć, smarkulo — Mab zacisnęła palce na ramieniu Alicji, a twarz dziewczynki skurczyła się i pobladła z bólu. Z wyrazu jej ciemnych oczu wnosilem, że chyba zaczynała rozumieć, w jaką grę tu się gra.

— Wasza Wysokość — rozejrzałem się i stwierdziłem, że Les Coeurs powoli mnie okrążają — raczy łaskawie zdjąć śliczną rączkę z ramienia tego dziecka. Bezwłocznie. Wasza Wysokość raczy również łaskawie poinstruować swych sługusów, by wycofali się na przewidzianą protokołem odległość.

— Doprawdy? — Mab zademonstrowała dalsze zęby. — A jeśli nie raczę, to co, jeśli można wiedzieć?

— Można wiedzieć. Wtedy, ryza szelmo, ja też zachowam się nieprotokolarnie. Powypuszczam wąpia z całej waszej zasranej bandy.

I na tym zakończyło się gadanie. Les Coeurs zwyczajnie rzucili się na mnie, nie czekając, aż przebrzmi okrzyk Mab, a jej upierścieniona dłoń zakończy władczy gest. Rzucili się na mnie wszyscy, ilu ich było. Kupą.

Ale ja byłem na to przygotowany. Poleciały kłaki z ich ozdobionych karcianymi symbolami kubraków. Poleciały kłaki z nich. I ze mnie też, ale znacznie mniej. Przewaliłem się na grzbiet. Trochę to zmniejszyło moją ruchliwość, ale mogłem robić z nich sieczkę również za pomocą tylnych łap. Wysilek pomału zaczął się opłacać — kilku Les Coeurs, zdrowo poznaczonych moimi pazurami i kłami, rzuciło się do sromotnej rejterady, lekceważąc wrzaski Mab, która w niewyszukanych słowach rozkazywała im, co i z czego mają mi wyrwać.

— A kto się w ogóle z wami liczy? — rozdarła się nagle Alicja, wnosząc do rejwachu zupełnie nowe nuty. — Jesteście talią kart! Tylko talią kart!

— Tak? — zawyla Mab, tarmosząc nią gwałtownie. — Co ty nie powiesz?

Jeden z Les Coeurs, kędzierzawy młodzian ze znakiem trefla na piersi, chwycił mnie oburącz za ogon. Nie znoszę takich poufałości, więc urwałem mu głowę. Ale inni siedzieli już na mnie i robili użytek z pięści, obcasów i krokietowych młotków, dysząc przy tym mocno. Zawzięci byli, jak cholera. Ale ja też byłem zawzięty. Po chwili trochę się dokoła przeluźniło. Mogłem przejść od wojny pozycyjnej do manewrowej. Murawa była już diabło czerwona i diabło śliska.

Alicja z całej siły kopnęła Mab w goleń. Jej królewska wysokość zakłęta plugawie i strzeliła ją z rozmachem w twarz. Dziewczynka upadła, lądując na jednym z Les Coeurs, który właśnie usiłował wstać. Nim zrzucił z siebie Alicję, wydrapałem mu jedno oko. Temu, który starał się przeszkadzać, wydrapałem oba. Dwaj pozostali dali nogę, a ja mogłem wstać.

— No, kochana Queen of Hearts? Może wystarczy na dziś? — wydyszałem, oblizując krew z nosa i wąsów. — Może dokończymy innym razem, ustaliwszy wprzód czas i miejsce?

Mab poczęstowała mnie wiązanką, w której określenie „pręgowany skurwysyn” było najłagodniejszym, choć i najczęściej się powtarzającym. Najwyraźniej nie miała zamiaru odkładać konfliktu do innego razu. Kilku Les Coeurs ochłonęło już z pierwszego szoku i szykowało się do ponownego ataku. A już byłem nieco zmęczony i ponad wszelką wątpliwość miałem złamane zebro. Zasloniłem sobą Alicję.

Mab rozdarła się triumfalnie. Krzaki akacji rozstąpiły się nagle niczym Morze Czerwone. A stamtąd, zagrzewany do boju hałłakowaniem Les Coeurs, wybiegł truchtem Banderzwierz. Dokładniej, ładnie wyrośnięty egzemplarz Banderzwierza. Zgroźliwego Banderzwierza.

— Pisarstwo... — powiedział nagle Charles Lutwidge, sprawiając wrażenie raptownie przebudzonego o letnim poranku. — Pisarstwo jest sztuką martwą. Nadchodzi wiek dwudziesty, a ten będzie wiekiem obrazu.

— Masz na myśli zabawę, wymyśloną przez Luisa Jacquesa Monde Daguerre'a?

— Tak — potwierdził. — Właśnie fotografię mam na myśli. Literatura jest fantazją, a więc kłamstwem. Pisarz okłamuje czytelnika, wiodąc go na manowce własnej imaginacji. Zwodzi go dwuznacznością lub wieloznacznością. Fotografia nie kłamie nigdy...

— Doprawdy? — poruszyłem końcem ogona, co u nas, kotów, niekiedy oznacza szyderstwo. — Fotografia nie jest dwuznaczna? Nawet taka, która przedstawia dziewczynkę w wieku lat dwunastu, w dość dwuznacznym, daleko posuniętym dezabilu? Leżącą na szezlongu w dość dwuznacznej pozie?

Zaczerwienił się.

— Nie ma się czego wstydzić — poruszyłem znowu ogonem. — Wszyscy kochamy piękno. Mnie też, drogi Charlesie Lutwidge, fascynują młodziutkie kotki. Gdybym parał się fotografią, jak ty, też nie szukałbym innych modelek. A na konwenanse pluń.

— Nigdy nikomu nie ppp... pokazywałem tych fotografii — niespodziewanie znowu zaczął się jękać. — I nigdy nie ppp... pokażę. Choć trzeba ci wiedzieć, że był taki mmm... moment, gdy wiązałem z fotografią pewne nadzieje... Natury finansowej.

Uśmiechnąłem się. Założę się, że nie zrozumiał tego uśmiechu. Nie wiedział, o czym myślałem. Nie wiedział, co widziałem, lecąc w dół czarną sztolnią króliczej nory. A widziałem i wiedziałem między innymi to, że za sto trzydzieści cztery lata, w lipcu 1996, cztery jego fotografie, przedstawiające dziewczynki w wieku od jedenastu do trzynastu lat, wszystkie w romantycznej i podniecającej wiktoriańskiej bieliźnie, wszystkie w dwuznacznych, lecz erotycznie sugestywnych pozach, pójdą pod młotek w Sotheby's i zostaną sprzedane za sumkę czterdziestu ośmiu tysięcy pięciuset funtów szterlingów, ładną, jak na cztery kawałki obrobionego techniką kolotypową papieru.

Ale nie było sensu mu o tym mówić.

Usłyszałem szum skrzydeł. Na pobliskiej wierzbie usiadł Edgar. I zakrakał przyzywająco. Niepotrzebnie. Sam wiedziałem, że już czas.

— Pora kończyć piknik — wstałem. — Żegnaj, Charlesie.

Nie okazał zdziwienia.

— Jesteś w stanie iść? Twoje rany...

— Jestem kotem.

— Byłbym zapomniał. Jesteś Kotem z Cheshire. Spotkamy się jeszcze kiedyś? Jak sądzisz?

Nie odpowiedziałem.

— Spotkamy się jeszcze kiedyś? — powtórzył.

— Nevermore — powiedział Edgar.

* * *

I to byłby, moi drodzy, w zasadzie koniec. Będę się więc streszczał.

Gdy wróciłem do Krainy, popołudnie trwało w najlepsze, bo czas płynie u nas nieco inaczej, niż u was. Nie poszedłem jednak do Zająca i Kapelusznika, by wspólnie wypić wygraną w zakładzie flaszkę i pochwalić się kolejnym — po upartym Szekspirze — sukcesem w naprawianiu losów światowej literatury. Nie poszedłem do Mab, by spróbować załagodzić konflikt za pomocą banalnej, acz nadzianej komplementami konwersacji. Poszedłem do lasu, by poleżeć na konarze, wylizać rany i wygrzać futro na słońcu.

Tabliczkę z napisem BEWARE THE JABBERWOCK ktoś złamał i wyrzucił w krzaki. Prawdopodobnie zrobił to sam Jabberwock, osobiście, bo zwykł był często to robić. Lubi zaskakiwać, a ostrzegawcza tabliczka psuje mu cały efekt zaskoczenia.

Mój konar był tam, gdzie go zostawiłem. Wlazłem na niego.

Spuściłem malowniczo ogon. Położyłem się, upewniwszy, czy gdzieś w okolicy nie kręci się Radetzky.

Słoneczko przygrzewało. W gąszczu tumtumów i tulżyc wesoło kłaskały peliczaple. Zbłąkinie rykoświształy. Jasmije smukwijne robiły coś na pobliskim gargazonie, ale nie widziałem, co. Odległość była zbyt duża.

Było złote popołudnie.

Było smaszno. I smutcholijnie. Jak to u nas.

Zresztą, przeczytajcie sobie o tym sami. W oryginale. Albo w którymkolwiek z przekładów.

Tyle ich przecież jest.